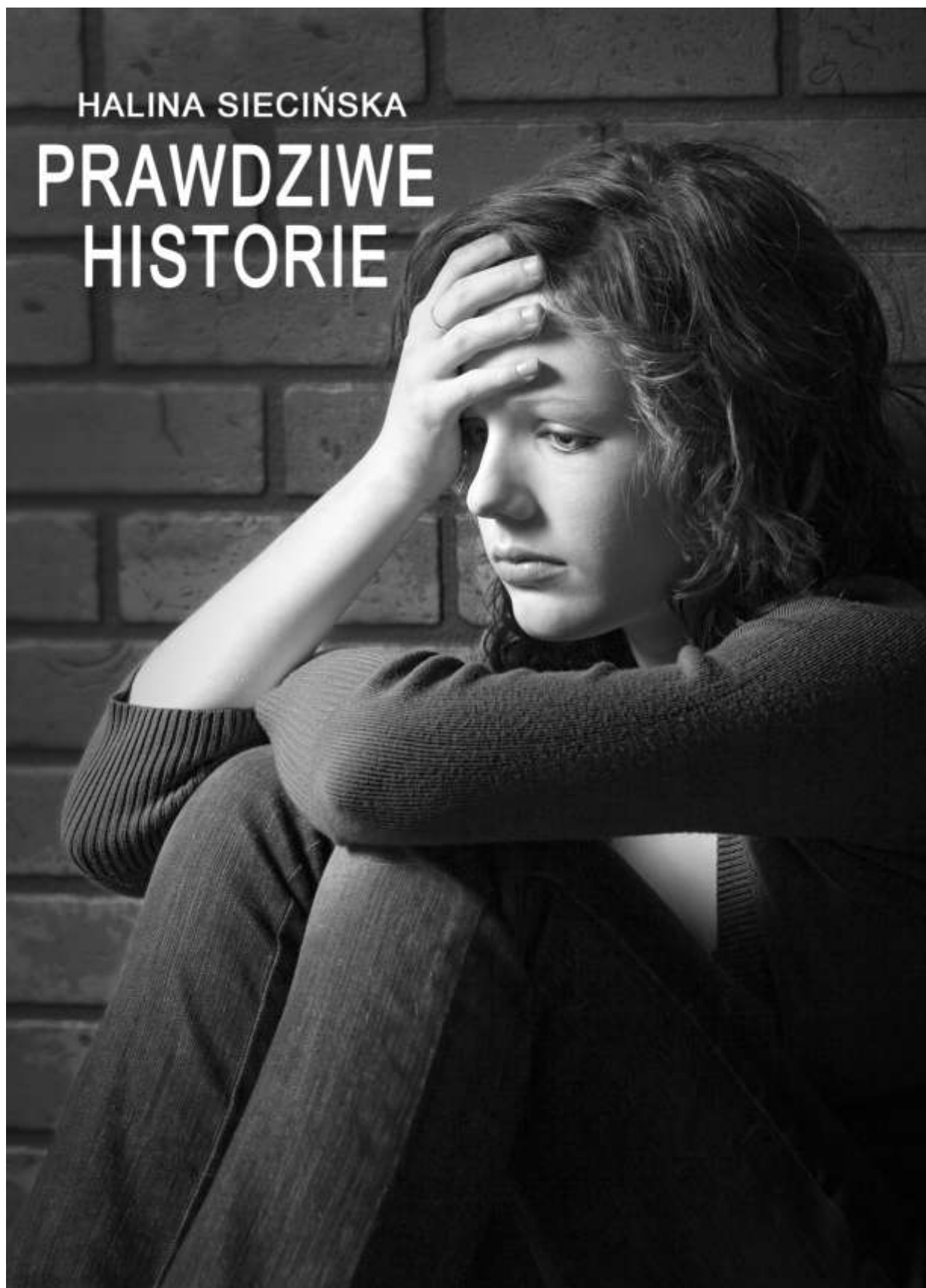


HALINA SIECIŃSKA

PRAWDZIWE HISTORIE



Drogi Czytelniku!

Te historie opowiedziały mi kobiety z miasteczek i wsi, gdzieś w Wielkopolsce. Spisywałam je przez lata moich reporterskich wędrówek. Ich bohaterki zawsze podkreślały, że trudne epizody życia dawały im siłę i pokazywały co w zwyczajnej codzienności jest najważniejsze. Dziękuję im za szczerość.

HALINA SIECIŃSKA
siecinska@me.com

Ciocia Jadzia

W każdym domu dałoby się opowiedzieć o trudnym życiu przynajmniej jednej osoby. Zwłaszcza jeśli żyją w niej osoby starsze, które przetrwały wojnę, biedę, czasem wykluczenie. W mojej rodzinie znalazłabym przynajmniej trzy takie rodzinne historie. Dwie dotyczą bliskich mojej mamy - cioci Jadzi i jej dzieci oraz kuzynki Irki. Trzecia to historia siostrzeńca mojego ojca. Oczywiście nie wszystkie można „przebrać na papier”, bo niektóre życiowe „zakręty” są zbyt bolesne, aby je ujawniać, ale macie rację, że każda historia czegoś nas uczy. Pomyślałam, że moja ciocia Jadzia mogłaby nauczyć siły, pracowitości, pogody ducha i tej niezwykłej wiary w to, że każdy następny dzień może być lepszy od poprzedniego. Zawsze mi to powtarzała, a nawet jeśli nie mówiła, to całym swoim życiem potwierdzała tę tezę.

Ciocia Jadzia ma 86 lat. Może nie uwierzycie, ale od wczesnej wiosny do jesieni można ją spotkać jadącą na rowerze. A jedzie albo na cmentarz, albo na działkę. Z domu ma na tę działkę około czterech kilometrów, więc codziennie robi sporą rowerową trasę. Nie zauważyłam, aby trudno jej było wsiadać na rower albo żeby się na nim przewracała. Widzę czasem, jak zatrzymuje się, by porozmawiać ze znajomymi. Kiedy tylko mnie zauważy, zaraz kiwa ręką i oczywiście zaprasza na pogaduszki.

O życiu cioci Jadzi mogłabym powiedzieć, że było ciężkie. Urodziła się przed wojną na wsi i była najstarsza z rodzeństwa. Ich ojciec został powołany na front i już nie wrócił do domu. Mama sama wychowywała pięcioro dzieci. W 1945 roku Jadzia miała prawie dwadzieścia lat. Bieda w domu aż piszczała, więc oczywiście dzieci musiały szukać pracy. Jadzia jeździła po okolicznych wsiach i zarabiała parę złotych na tydzień. Albo wracała na noc do domu, albo przesypiała kątem u rolników. Moja mama opowiadała, że ciocia Jadzia była śliczną dziewczyną. Niestety, takiej jej nie pamiętam, bo odkąd pojawiła się w moim życiu, zawsze miała spracowane ręce,

zmęczoną twarz, proste, zaczesane do tyłu włosy. No i ubierała się skromnie, bo przecież nie było pieniędzy na żadne ciuszki. Najczęściej nosiła je po kimś.

Szokiem dla wszystkich było, że Jadzia zaszła w ciążę. Bliscy wiedzieli, kto jest ojcem przyszłego maleństwa, ale on sam gdzieś zniknął. Nie chciał zakładać rodziny ani płacić na wychowanie dziecka. Dziś pewnie nikt nie robiłby z tego wielkiej tragedii, a rodzice wzięliby córkę z wnukiem do domu, ale wtedy to było nie do pomyślenia. Na wsi tę biedną Jadzię chcieli zwyczajnie „zaszczuć”, a ona sama nie wychodziła z domu tygodniami. Wiem, że to był najtrudniejszy okres w jej życiu. Rozmawiamy czasem o tamtych latach i nie mogę wyjść ze zdumienia, że kiedy mówi o oczekiwaniu na swoje pierwsze dziecko, zawsze się uśmiecha. Ona do dziś pamięta, jaka była szczęśliwa w tych swoich zamkniętych czterech ścianach. Mówi mi, że na zewnątrz widziała pogardę, złość, kpinę, a w swoim pokoju tylko oczekiwanie. Pamięta, jak z flaneli tygodniami robiła pieluszki dla synka. Bo urodził się chłopczyk. Ale nie tam na wsi. Stamtąd musiała uciekać.

I właśnie wtedy trafiła do nas. Moja mama nie mogła patrzeć, jak wszyscy wokół wytykali Jadzię palcami, jak rodzeństwo miało jej za złe tę opinię i jak jej własna matka nie mogła pogodzić się z tą sytuacją. Takie to były czasy. Jadzia przyjechała więc do nas na kilka lat. Wtedy mnie nie było jeszcze na świecie. Nic dziwnego, że nie pamiętam, jaka była ładna i jak sama wychowywała synka. To też były trudne chwile w jej życiu, ale o wiele spokojniejsze. I wyobraźcie sobie, że nagle po kilku latach odszukał ją brat jej chłopaka. Tego, który był ojcem synka. Zaproponował jej małżeństwo. Obiecał dać chłopcu nazwisko, uznać go za syna, wychować.

Kiedy już byłam panienką, nieraz pytałam ciocię Jadzię, czy pokochała męża. Bo to, że pobrali się bez miłości, było oczywiste. Oni się w ogóle nie znali, nie spotykali się wcześniej. Po prostu zawarli kontrakt. Ciocia mieszkała wtedy w wynajętym małym mieszkaniu, pracowała fizycznie. To małżeństwo mogło jej

pomóc „stań na nogi”. No więc kiedy pytałam ją o miłość, zawsze tak dziwnie patrzyła. Jakoś tak ciepło, jakby daleko. Nie powiedziała mi, co czuła, ale często mówiła o mężu. On ją chyba pokochał naprawdę. Żyli tak skromnie, jak tylko sobie można wyobrazić. To już pamiętam, bo czasem razem przychodzili do nas. Moja mama wtedy mówiła, że cieszy się, bo Jadzia zjadła prawdziwy obiad. Musiało być im ciężko. Ale najgorsze było jeszcze przed ciocią. Urodziła wujkowi dwie córeczki i kiedy młodsza miała trzy latka, zdarzył się wypadek. Wujek zginął na miejscu. Moja ciocia Jadzia znowu została sama. Ciągłe w tym małym mieszkanku, ciągle w biedzie. Wtedy już rozumiałam, co przeżywa. I widziałam tę jej walkę o każdy następny dzień. To wówczas mówiła mi, że będzie lepiej, że jutro też zaświeci słońce, że dzieci dorosną... miała rację, dzieci rosły. Nieraz myślę, że ludzie tamtego, wojennego pokolenia byli silniejsi. I że łatwiej było im się cieszyć z każdej małej rzeczy. Ona cieszyła się, gdy mój tato zawoził jej koszyk jabłek albo kiedy z mojego starego sweterka robiła na drutach kamizelki dla dziewczynek. Marzenia też miała małe, takie zwyczajne, żeby nie było gorzej.

Wyobraźcie sobie, że ciocia Jadzia poznała jeszcze mężczyznę swojego życia. Na weselu, u rodziny. Pobrali się, mieli syna. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie alkohol. Kiedy wujek nie pił, był najlepszym z mężów i ojców, ale kiedy pił... no cóż, cioci Jadzi nie było pisane szczęście.

Znowu widziałam ją na tym rowerze, jak jechała kilka dni temu na cmentarz. Byłam zdumiona, bo przecież jeszcze było bardzo zimno, a ona już zrzuciła ciepły płaszcz. Uśmiechała się do mnie. - „Będzie dobrze” - krzyknęła. Pomyślałam, jak ten jej los się kręci. Dzieci wyjechały i tylko najstarszy syn mieszka z rodziną niedaleko. Ona pochowała dwóch mężów i znowu jest sama. Duże mieszkanie zamieniła na pokój z kuchnią. Jest jak kiedyś, w skromnych swoich czterech ścianach. Tyle tylko, że nie ma biedy, na szczęście. Zresztą teraz to już dzieci by na to nie pozwoliły. Ale uśmiecha się jak zawsze i pracuje jak zawsze. Mówi, że z przyzwyczajenia. A ja myślę, że po prostu taka jest - silna, pracowita, gospodarna. I niech tak będzie.

Moja rodzina

Może dobro nie potrzebuje opisanie, bo jest takie zwyczajne, normalne i nikogo nie dziwi. A nieszczęście wywołuje emocje i porusza ludzi. No a poza tym, zwierzenia w chwilach trudnych pomagają, dają nadzieję, czasem zwrócą uwagę na coś z czym trudno sobie poradzić. Chyba dlatego tyle osób mówi o najtrudniejszych momentach swojego życia. O tym jak je przetrwali i jak ich losy potoczyły się dalej.

A ja chciałabym wam opowiedzieć o mojej rodzinie, która dała mi poczucie bezpieczeństwa i zwyczajnie nauczyła kochać. Niby tak niewiele...

Moja mama umarła kiedy miałam sześć lat. Pamiętam bo potem przez wiele miesięcy byliśmy z tatą sami. Z tamtego okresu wspominam przede wszystkim wizyty u babci. Babcia mieszkała jakieś dwa kilometry od nas. Szło się do niej przez park, a właściwie taki mały laszek. Zawsze w niedzielę odwiedzaliśmy babcię, zaraz po obiedzie. Pamiętam, że tata zabierał cukierki albo pączki, które dla nas piekła sąsiadka. Babcia wiedziała, że przyjdziemy i stała przed domkiem, żeby widzieć nas już z daleka. To była mama mojej mamy. Myślę, że kochała nas także za swoją córkę, jakby w dwójnasób. Nie wyobrażaliśmy sobie, aby którejkolwiek niedzieli nie pójść do babci.

A potem mój tata się ożenił. Przyznaję, że był to dla mnie szok. Ciągłe byłem małą dziewczynką tatusia i wydawało mi się, że przez całe życie będziemy tylko we dwoje. Kiedy więc przyprowadził do domu panią Ewę, czułam, że coś się skończyło. Wtedy myślałam, że po prostu przestał mnie kochać. To były najtrudniejsze dni od czasu gdy pożegnałam moją mamę.

Zapytacie dlaczego o tym mówię, skoro miało być dobrze i pogodnie?

Ano dlatego, by wam opowiedzieć, za co pokochałam moją drugą mamę. Bo pani Ewa została nią naprawdę.

Byłam już dorosła, gdy dowiedziałam się, że przed ślubem żona mojego taty postawiła mu warunek, że nie będą mieli dzieci, przez co najmniej dwa, trzy lata. Ten czas miał być wyłącznie dla mnie. Wtedy o tym nie wiedziałam, ale czułam, że jestem ważna nie tylko dla taty. To Ewa odrabiała ze mną lekcje, siadała przy łóżku, gdy byłam chora, czytała mi książki. Z nią robiłam naleśniki, dla całej naszej trójki i zaprawy latem. I z nią chodziłam do babci. Wyobrażacie sobie, że moja druga mama nigdy nie powiedziała, że jest zbyt zmęczona, by w niedzielę iść pieszo do sąsiedniej wsi. Chodziliśmy jak zawsze, póki babcia żyła. Po raz pierwszy powiedziałam do niej „mamo” kiedy byłam w czwartej klasie. Dla mnie wtedy było to oczywiste. Ona płakała ze wzruszenia. Chyba już wówczas ją kochałam.

A za co jeszcze kocham moją mamę?

Najpierw urodził się mój brat, a dwa lata później siostra. Brat jako dziecko był bardzo słaby. Do dwóch lat nie chodził, jeszcze dłużej nie mówił. Mama przerwała pracę zawodową i cały czas poświęcała wyłącznie nam. Nie słyszałam, żeby się skarżyła. Może z ojcem niejedną noc przegadali o kłopotach i chorobach, ale nam nigdy nie dali odczuć, że jest ciężko. A łatwo nie było. Tata pracował na całą naszą piątkę, często brakowało pieniędzy, a mimo to mówiliśmy sobie, że jesteśmy bogaci. Tak to wtedy czułam. Kochałam mamę za to, że chociaż to jej synek był chory i mogła oddać mu się bez reszty nie zapomniała o mnie. Ja byłam tak samo córeczką, jak moja młodsza siostra. Przytulała nas, gdy tego potrzebowałyśmy i karciła gdy byłyśmy niegrzeczne. Bo przecież i to się zdarzało. Pamiętam jak musiała wysłuchiwać uwag na wywiadówkach, za trochę gorszy okres mojej nauki. A brat wyzdrowiał i wyrósł na fajnego chłopaka.

Mama jest bardzo dobrym człowiekiem. Nieraz sobie myślę, że na nią nie zasłużyliśmy, ani tata, ani ja. Przyznaję, że tata bywał trudny, chyba z powodu tej ciągłej bieganiny za pracą, może z przemęczenia. Ale jak tylko chciałam mamie powiedzieć, że jest wyjątkowa, to się denerwowała. Twierdziła, że za miłość się nie

dziękuje i że ona jest po prostu taka jak powinna. Zwyczajnie jest mamą. Dla mnie jest kochaną mamą. Kto wie, może moja pierwsza mama, tam u góry, zadbała żebyśmy mieli prawdziwy dom.

Mama mieszka z moją siostrą. Całkiem niedaleko od nas. Tata niestety już odszedł na zawsze. Jeżdżę do nich często, bo pamiętam wizyty u babci i to święto kiedy tam do niej chodziliśmy. Czasem dla wspomnień kupuję też pączki. Mama wie, co wtedy chcę jej powiedzieć. A za to, że mnie rozumie też ją kocham.

Mój mąż

Nigdy nie pracowałam zawodowo, poza krótkim okresem zaraz po szkole. Właśnie w pracy poznałam swojego przyszłego męża. I to on nakłonił mnie, abym zajęła się domem, a zarabianie pieniędzy pozostawiła jemu. Miałam mieć dobrze, wygodnie i bezproblemowo. Naprawdę wierzyłam, że tak właśnie będzie.

Mój mąż miał kierownicze stanowisko i pewnie dlatego nie chciał, aby w jednym zakładzie spotykała się rodzina. Obawiał się, że pracownicy będą mu zarzucać, że mnie wyróżnia i że lepiej traktuje żonę niż pozostałych podwładnych. Rozumiałam to, choć próbowałam znaleźć pracę w innej firmie. Ale właśnie wtedy zaszłam w ciążę, więc uzgodniliśmy, że do pracy wrócę, jak trochę odchowam dziecko.

Kiedy urodził się Jasiu, byłam najszczęśliwszą mamą na świecie. Nie było rzeczy, której nie poświęciłabym dla maleństwa. Było oczywiste, że zajmę się nim sama, bo mąż nie miał już rodziców, a moja mama była chora. Z radością zostałam więc w domu i cały swój czas poświęciłam rodzinie. Chyba wtedy byłam tak naprawdę szczęśliwa. Ale radości przybywało. Po roku urodziłam córeczkę, a po trzech latach chłopców - bliźniaków. Nagle dostałam od losu dużą wspaniałą rodzinę. A miałam przecież dopiero dwadzieścia pięć lat. Kiedy dziś wracam pamięcią do tamtych czasów, widzę siebie ciągle zabieganą i zmęczoną. Nie to, żebym narzekała albo skarżyła się, ale zwyczajnie świat zaczął się kręcić wyłącznie wokół najbliższych. Ja się wtedy nie liczyłam. Może to była moja wina, bo nie oczekiwałam od nikogo pomocy i nie prosiłam o nią, ale bywały dni, że nie wiedziałam „w co ręce włożyć”. Nigdy jednak nie uważałam mojego losu za zły. Miałam i mam cudowne dzieci. Dziś jestem babcią, i to najszczęśliwszą z babć.

Zapytacie więc, dlaczego opowiadam tę historię? Taką zwyczajną, jakich tysiące? Odpowiem szczerze - po to, aby coś ważnego do tej historii dodać. Coś,

czego razem z mężem nauczyliśmy się dopiero po kilkudziesięciu latach wspólnego życia.

Mąż nie był łatwym partnerem.

Po pierwsze, prawie nigdy nie było go w domu. Miał rzeczywiście odpowiedzialną pracę i zawsze podkreślał, że musi pracować więcej, skoro jest nas aż szóstka w rodzinie. Rozumiałam to, ale bolało mnie, że na co dzień nie interesowały go problemy dzieci. To ja chodziłam na wywiadówki, ja wzywałam lekarza, jak któreś zachorowało, ja kupowałam rzeczy dla nich. Mąż wkraczał wyłącznie wtedy, gdy trzeba było dzieci skarcić. Bałam się, że tata będzie im się kojarzył tylko z kłapsem lub karą, jaką im wyznaczał. Nieraz miałam wrażenie, że zamiast go kochać bały się taty.

A po drugie, mąż nie traktował mnie jak partnera. Nie „wtrącał się do mojej domowej działki”, ale też nie dopuszczał mnie do swojego życia. Nigdy nie opowiadał mi o pracy, nie zwierzał się, nie radził. Wręcz przeciwnie, podkreślał, że się nie znam, że brak mi wykształcenia, że nie powinnam się wtrącać. Czułam się jak kopcuszek w domowych kapciach. A do tego jeszcze często się obrażał i stosował tak zwane ciche dni. Bardzo mi wtedy było ciężko. A przy tym wszystkim wiedziałam, że przecież nas kocha. Nie szukał atrakcji poza rodziną, nie zdradzał mnie, nie oszukiwał. Miałam też zawsze pieniądze, dzieciom niczego nie brakowało.

Zbliżała się emerytura, kiedy stało się najgorsze. Mąż ciężko zachorował. Nagle znalazł się w szpitalu i cały jego zawodowy świat się zawalił. Wiadomo było, że do firmy już nie wróci. Nie było nawet pewności, czy przeżyje, a jeśli tak, to czy będzie sprawny. Wtedy nasze życie zmieniło się o sto osiemdziesiąt stopni. Chłopcy byli już poza domem i tylko córka mieszkała z nami. Obie podporządkowałyśmy codzienność mężowi i tacie. Każdego dnia jeździłyśmy do szpitala na zmianę. Myłyśmy go, karmiłyśmy, goliłyśmy. Ja przesiedziałam przy mężu niejedną noc. Nie wiem, czy wiedział, że go głąskałam, mówiłam do niego, opowiadałam o dzieciach, o wnukach.

Całowałam go, jak nigdy w codziennej, normalnej krzątaninie. Ale chyba wiedział, a na pewno czuł. Kiedy odzyskał przytomność, też przy nim byłam. A potem kolejny tydzień, kolejny miesiąc. Widziałam, jak przyjmuje moją pomoc i opiekę. Na początku z niedowierzaniem, nawet ze skrępowaniem, że jestem aż tak blisko, tak intymnie. Potem z wdzięcznością, a w końcu z miłością. Coś się w nim przełamało.

Nie wiem, czy uwierzycie, ale mój mąż wyzdrowiał. Oczywiście musi na siebie uważać, jest na diecie i pod stałą kontrolą lekarzy, ale funkcjonuje normalnie. Jest już na emeryturze, mieszkamy tylko w dwójkę. Jakie więc teraz jest moje życie?

Powiedziałam na początku, że dopiero po kilkudziesięciu latach wspólnego życia czegoś się nauczyliśmy. Wydaje się, że to taka zwyczajna wiedza, o tym że ważna jest rodzina, szacunek, miłość. Ale my nauczyliśmy się też, że nie wolno marnować już ani jednej godziny. Żal nam wszystkich cichych dni, żal, że nie jeździliśmy na urlopy, że nie opowiadaliśmy sobie o każdym przeżytym dniu. Teraz jakby to nadrabiamy. Oczywiście nie mamy już przed sobą wielu wspólnych lat, ale te, które przed nami, będą na pewno piękne, choć zwyczajne. Jeśli więc ta historia komuś się przyda, będziemy dodatkowo szczęśliwi. My nie żyjemy już obok siebie, a ze sobą. Nawet starość nam w tym nie przeszkadza.

Pani Stasia

Zawsze kiedy zbliżają się święta Bożego Narodzenia, pani Stasia wspomina swoje dzieciństwo. Może dlatego, że było takie trudne i że każda kolejna Gwiazdka dla niej łączyła się z tęsknotą. A może stąd, że porównuje je ze świętami swoich dzieci i wnuków i cieszy się, że oni mają normalne, ciepłe domy. Właśnie teraz, przed Bożym Narodzeniem, zaprosiła nas na rozmowę. Oczywiście wspominała.

Stasia urodziła się na wsi. Była najmłodszą z rodzeństwa, brat miał 10 lat, a siostra o trzy lata mniej. Ojciec Stasi jeszcze przed wojną wyjechał za pracą do Francji. Raz tylko przyjechał na urlop i właśnie wtedy mama zaszła w ciążę. Nie widział Stasi, kiedy się urodziła. Mama sama wychowywała całą trójkę. A były to bardzo trudne czasy. Wybuchła wojna, mama chodziła do pracy w polu, przy domu hodowała krowę, kury, uprawiała ogród. Mieszkali w domku z gliny, oczywiście bez żadnych wygód. Po ciężkiej zimie w 1941 roku we wsi była powódź. Topniejący śnieg zalał większość budynków. Mama Stasi przenosiła co się dało do stodoły, nie patrząc na to, że po kolana jest w wodzie. Nic dziwnego, że zachorowała na zapalenie płuc. Wkrótce zmarła. Dzieci zostały same w swojej gliniance. To wtedy z sąsiedniej wsi przyjechał wujek, brat mamy. Zabrał ich do siebie i babci. Był kawalerem i sam prowadził gospodarstwo. Stasia miała wtedy dwa lata.

U wujka Stasia spędziła pięć lat. Pamięta, jak przez okno w piwnicy widziała uciekających Niemców, jak zbierała kamienie na polu, jak na zawsze odeszła babcia. I pamięta jeszcze, że wujek remontował z jakichś resztek cegły dom gliniany po mamie, do którego potem przeprowadził się brat z siostrą. Ale kiedy skończyła się wojna, a ona została z wujkiem sama, ten zdecydował, że odda ją do Domu Dziecka. Nie mogła nic zrobić, gdy ją odwoził.

Tuż po wojnie takich domów dziecka było w kraju sporo. Trafiały do nich dzieci, które straciły rodziców lub zagubiły się w czasie wojennej zawieruchy.

Wszystkie były sobie obce, skrzywdzone przez los. A w domach panował rygor, niemal wojskowy. Dzieci musiały być najedzone, chodzić do szkoły i wywiązywać się z obowiązków. Nikt nie dbał o to, czy tęskniły, przeżywały stratę, czuły się opuszczone. Stasia mówi, że raz w tygodniu zmieniano im sukienki, a jeśli któraś z dziewczynek poplamiała ją, to musiała pozostawać w pokoju aż do czystej zmiany. Nigdy niczego nie dostali w prezencie. Nawet w Boże Narodzenie. Ale Stasia mimo wszystko dobrze wspomina tamte gwiazdki. A to dlatego, że na święta zabierała ją pewna rodzina. Sami mieli ósemkę dzieci, a jeszcze przygarnęli Stasię do siebie. Byli biedni, jednak choinkę zawsze stroili. To wtedy Stasia czuła się szczęśliwa. Po trzech latach kilkoro dzieci przeniesiono do innego domu. Jeszcze dalej. Tylko raz przyjechała do niej siostra. To było wówczas, gdy szła do Pierwszej Komunii Świętej. Ona jedna miała w czasie tej uroczystości gościa. Do pozostałych dzieci nikt nie przyjechał. Jedno Boże Narodzenie spędziła u księdza proboszcza.

Stasia skończyła 13 lat. Wtedy nieoczekiwanie dostała wiadomość, że ojciec wrócił z Francji. Mogła więc pojechać do domu. Wracała sama, z kartką na szyi, żeby nie pomyliła pociągów. Na dworcu czekał na nią brat. Jechała do ojca, którego wcześniej nigdy nie widziała. On też nie znał swoich dzieci, nigdy nie kochał ich, nie przytulał. Brat i siostra wrócili do wujka, ona do rodzinnego domu mamy. Ten dom był dla niej zupełnie obcy. Tata ożenił się po raz drugi, więc panią domu została nieznajoma kobieta. Tak naprawdę nikt tu na nią nie czekał. Czy mogła czuć się szczęśliwsza?

Rok później skończyła siódmą klasę i zaraz musiała iść do pracy w PGR. Najpierw sezonowo, a potem na stałe. Pieniądze zabierała oczywiście druga mama. Z tego czasu Stasia wspomina jedno miłe zdarzenie. W gospodarstwie zakładano prąd i do tej pracy przyjechała ekipa remontowa. Jeden z mężczyzn ciągle jej się przyglądał. Okazało się, że był to chłopak z Domu Dziecka. Przebywał tam z siostrą w tym samym czasie, co Stasia. Dużo sobie opowiedzieli.

Potem Stasia jeszcze przez trzy lata ciężko pracowała w cegielni.

Najszcześniejszym dniem w jej życiu było spotkanie przyszłego męża. Na dożynkach. Od pierwszego wejrzenia wiedzieli, że są sobie przeznaczeni. Ślub wzięli po trzech miesiącach znajomości. I znowu Stasia borykać się musiała ze swoim złym losem. Zamieszkali u jej ojca i drugiej mamy, w jednym małym pokoiku. Ale dobrze nie było. Rodzice nie pozwolili im korzystać z kuchni, nie dali sprzętów do pokoju, nie pomagali w niczym. A na świat przyszła dwójka ich dzieci. Dopiero po czterech latach mąż Stasi dostał pracę w gospodarstwie, w innej wsi. Tam było też małe mieszkanie. Wyprowadzili się. A sąsiedzi obdarowali ich prezentami. Jeden dał króliki, inny kurę, ktoś masło, od pewnej rodziny dostali meble kuchenne. Nareszcie Stasia mogła postawić nogi pod własnym stołem.

Pani Stasia z mężem jeszcze dwa razy zmieniała mieszkanie. Wspólnie wychowali pięcioro dzieci. Mają wnuki i prawnuki. A do swojego domu na święta zapraszali dziewczynkę z Domu Dziecka. Po raz pierwszy przyjechała do nich, gdy miała 7 lat. Potem przenieśli ją dalej, ale i tak czasem bywała u nich na soboty i niedziele. Już jako dziewczyna wyprowadziła się na północ Polski. Pisała, dzwoniła, przyjechała do nich ze swoim mężem. Chciała pokazać bliskim, gdzie spędzała szczęśliwe chwile. Podobnie jak mała Stasia.

Dziś, kiedy pani Stasia jest babcią, coraz częściej myśli o tym, by pojechać zobaczyć dawny Dom Dziecka. Nigdy tam później nie była. Podobno jest dom opieki dla osób starszych. Może warto przespacerować się alejkami w parku?

Pani Stasia jest najszcześniejsza, kiedy do domu na święta przyjeżdżają bliscy. Oni wiedzą, że razem z mężem zawsze na nich czekają.

Waldek

Waldka znałam właściwie od zawsze. Pochodziliśmy z tej samej miejscowości, a że był on tylko dwa lata starszy ode mnie, chodziliśmy też razem do szkoły podstawowej. Przyjaźniliśmy się jak większość dzieci z podstawówki. Razem bywaliśmy na wycieczkach, na kolonii, często wspólnie bywaliśmy nad jeziorem. Rodzice Waldka mieli prywatny zakład budowlany, a więc kiedy dorósł, musiał pomagać na niejednej budowie. Ja miałam dużo łatwiej. Przede wszystkim byłam jedynaczką i w domu wszystko „kręciło się” wokół mnie. Mama nie pozwalała mi nic robić. Musiałam się tylko uczyć i uczyć. Nauka nie sprawiała mi zresztą żadnych kłopotów. Nic dziwnego, że moi rodzice wymyślili dla mnie swój scenariusz na życie. Miałam pójść na studia, tam znaleźć dobrego męża, może kupić mieszkanie w mieście...

A ja zwyczajnie pokochałam Waldka. Mieliśmy wtedy niecałe dwadzieścia lat. Waldek skończył Technikum Budowlane, a ja liceum. On zaczął pracę u ojca. To nie było łatwe zajęcie. Pracował ciężko fizycznie, czasem do późnych godzin wieczornych, często był zmęczony, niewyspany. Kiedy przychodził do nas, nie bardzo umiał się znaleźć w tym naszym wymuskany świecie. Mama ciągle mówiła o moich studiach, o tym co będę robić za kilka lat, o planach na ich starość. Waldek nie miał odwagi powiedzieć im, że my mamy zupełnie inne pomysły na życie. Chcieliśmy jak najszybciej być razem, a to w pewnym sensie przekreślało marzenia mojej mamy. Rodzice nie widzieli Waldka przy moim boku. Myślę, że nawet tego nie brali pod uwagę. Zawsze traktowali go tylko jak mojego kolegę z klasy. W końcu jednak trzeba im było o tym powiedzieć.

Rodzice nie chcieli słyszeć o naszym małżeństwie. Nie pomagały żadne argumenty, a już najmniej ten, że się kochamy. Mama przekonywała mnie, że to tylko dziewczęce zauroczenie, że jeszcze nie raz się w życiu zakocham, że są

ważniejsze sprawy niż szybkie zamążpójście. Chodziło jej oczywiście o moje studia i zawód, który miałam zdobyć przed założeniem rodziny. W pewnym sensie ją rozumiałam, ale nie mogłam się zgodzić na zerwanie z Waldkiem. A rodzice właśnie tego chcieli. Powtarzali mi, że to mąż nie dla mnie. Sytuacja w domu stawała się naprawdę trudna. Mama oczekiwała, że nie będę się z Waldkiem spotykać, a ja nie chciałam jej okłamywać i wymykać się do ukochanego. Postanowiłam wyjechać na stałe do mojej cioci. To była siostra taty, z którą zawsze miałam dobre kontakty. Ciocia zgodziła się, abym u niej zamieszkała, a ja obiecałam, że będę się dalej uczyć.

Przyznaję, że rozpoczęłam naukę w pomaturalnej szkole i to zaocznie. Poszłam bowiem do pracy, bo nie chciałam, żeby utrzymywała mnie ciocia. Po roku do miasteczka, gdzie mieszkałam, przyjechał Waldek. Też znalazł tam pracę. Spotykaliśmy się niemal codziennie. Ja od początku wiedziałam, że Waldek jest moją miłością na życie. Ani przez moment nie pomyślałam, aby z niego zrezygnować. Przez kilka pierwszych miesięcy ciocia nie wiedziała, że Waldek jest tym chłopakiem, którego rodzice chcieli mi wybić z głowy. Pozwalała, by do nas przychodził, polubiła go, akceptowała nawet jako przyszłego narzeczonego. I wtedy oczywiście musieliśmy powiedzieć jej prawdę. Ale ciocia stanęła po naszej stronie. Za bardzo nas kochała, aby pozwolić nam od niej odejść.

W miasteczku cioci wzięliśmy ślub cywilny. Rodziców poinformowałam, że jestem żoną i że planuję, ślub kościelny zorganizować w rodzinnym domu. Nie mówiłam tylko, że moim ukochanym jest Waldek.

To była najtrudniejsza podróż do domu. Kochałam rodziców bardzo i cierpiałam z tego powodu, że muszę ich okłamywać. Kochałam Waldka i za żadne skarby świata nie oddałabym tej miłości. A jednak wydawało mi się, że będę musiała wybierać. Więc jechałam do domu „z duszą na ramieniu”. Modliłam się, żeby rodzice mnie zrozumieli, żeby pokochali Waldka, żeby nas przyjęli.

Thank You for previewing this eBook

You can read the full version of this eBook in different formats:

- HTML (Free /Available to everyone)
- PDF / TXT (Available to V.I.P. members. Free Standard members can access up to 5 PDF/TXT eBooks per month each month)
- Epub & Mobipocket (Exclusive to V.I.P. members)

To download this full book, simply select the format you desire below

